

kręte nagranie
S. Sianko

Alina Gruntowicz

ul. Parkowa 14 m 76.

© ARCHIWUM WSCHOŃTĘ

Urodziłam się w grudniu 1937-go roku w Wołkowysku w rodzinie inteligenckiej. Mój ojciec - Juliusz - był obrońcą Lwowa w 1920-tym roku a później należał do organizacji o charakterze paramilitarnym pod nazwą "Krakus". W początkowym okresie dwudziestolecia międzywojennego był nauczycielem w miejscowości Zelwa a później urzędnikiem państwowym i pracował w gminie.

Natomiast moja mama / Jadwiga - była nauczycielką w szkole podstawowej w Nowosiólkach w powiecie Wołkowysk.

We wrześniu 1939-go roku ojciec poszedł na wojnę. Nie potrafię nic powiedzieć ani na temat ojca udziału w walkach ani okolicznościach, w których na wojnę poszedł i wrócił. W latach 1939-1941 tato nie pracował. Natomiast w tych latach tj. w okresie władzy radzieckiej na tych terenach mama usiłowała być nauczycielką. Aby utrzymać się w tym zawodzie przez cały ten czas z powodzeniem udawała, że we właściwym stopniu zna język rosyjski.

Okoliczności aresztowania naszej rodziny prawie nie pamiętam. Wiem, że było to około 20-go czerwca 1941-go roku. Było to bowiem na krótko przed wybuchem wojny niemiecko - sowieckiej. W tym czasie nie używano oficjalnie terminu "wywózka" lecz mówiło się "ewakuacja".

Przyszli jakoś nad ranem. Oczyma dziecka widziałam i zapamiętałam, że przyjechali po nas jakimś dziwnym samochodem. Kazali ubierać się i szybko pakować. Załadowano nas na ten samochód i zawieziono na jakąś stację kolejową. Tam załadowano nas do wagonów towarowych. Pamiętam, że w ten sposób ładowano nie

tylko naszą rodzinę ale także i innych, jakichś obcych ludzi. Wnętrze wagonu było całkowicie wypełnione ludźmi. Do spania były przeznaczone drewniane prycze. W podłodze, na samym środku wagonu, była wycięta dziura z przeznaczeniem na ubikację. Tu mieliśmy załatwiać niezbędne potrzeby fizjologiczne.

Zapamiętałam, że podróż strasznie mi się dłużyła, bo też rzeczywiście trwała bardzo długo. Najbardziej zapamiętałam z tego stały brak wody. Co bardziej niecierpliwi z naszego wagonu dopominali się o nią natarczywie, bębniąc w drzwi. Gdy awanturowano się dostatecznie głośno i długo, "bojec" prowadził kogoś "pod bagnietem" na karabinie. Tak konwojowany, z wiadrem szedł po wodę dla całego wagonu.

Jeść nam w ogóle nie dawali. Na stacjach, na których mieliśmy postoje, spuszczaaliśmy na sznurkach kubeczki / przez zakratowane okienka umieszczone bardzo wysoko, bo aż pod samym sufitem /. Do tych kubeczków litościwi, miejscowi ludzie nalewali nam coś do picia.

Także na stacjach, jeśli były takie możliwości, uprawialiśmy handel z miejscowymi. Był to handel wymienny, "towarobmien". Polegał on na wymianie naszych rzeczy na artykuły żywnościowe pierwszej potrzeby.

Aresztowana przeprowadzali NKWD-yści według wcześniej przygotowanych list imiennych o charakterze proskrybcyjnym. W ich sporządzaniu bardzo niesławną rolę odegrali członkowie białoruskiej "Hromady".

To, że nasza rodzina znalazła się na tej liście, jest efektem działalności niejkiej Nastazji Karpowicz, która przez lata w okresie międzywojennym była służącą u moich rodziców. W latach władzy radzieckiej zupełnie nieoczekiwanie awansowała do roli wielkiej działaczki politycznej. Prawdą jest i to, że w la-

tach Drugiej Rzeczypospolitej znana była ze swych sympatii prokomunistycznych. Była Białorusinką.

Transportem kolejowym zawieziono nas do Nowosybirska. Tu przeładowano nas z wagonów na statki rzeczne i niebawem ruszyliśmy w dalszą podróż. Płynęliśmy rzeką Ob. Statek, którym płynęliśmy, miał dwa pokłady. Dólny, na którym niemiłosiernie stłoczono nas, Polaków i Ukraińców oraz górny, gdzie we względnie znoszonych warunkach podróżowali Rosjanie. Moja mama, wyraźnie zdenerwowana tą niesprawiedliwością, mimo nieżyczliwych uwag i komentarzy, stale chodziła na górny pokład mimo tego, że nie miała do tego prawa.

Wreszcie dotarliśmy do celu naszej rzecznej podróży - osiedla na bagnach o nazwie Biały Jar.

Zamieszkaliśmy u Kostia, kułaka z Ukrainy. Był on z tych Ukraińców, których tu masowo przesiedlono na rozkaz Stalina jeszcze w latach trzydziestych. Według jego opinii z pierwszych transportów z tego okresu ocalał tylko co dwudziesty.

Warunku życia były tu bardzo biedne. Kostia miał własną chałupinę, w której jedną komórkę przeznaczył dla naszej rodziny. Pamiętam, że w czasie deszczu mama otwierała parasol, bo przez dziurawy dach deszcz dostawał się do środka.

Sam Kostia był rybakiem. Jak go zapamiętałam, zawsze naprawiał rybackie sieci. Po wybuchu wojny niemiecko - radzieckiej i szybkim posuwaniu się wojsk niemieckich na Moskwę w pierwszym etapie ofensywy, wyraźnie się ożywił. Codziennie pytał moją mamę, czy Niemcy już są blisko, bo on koniecznie chce iść do nich " w plen ".

Mieliśmy stały obowiązek meldowania się co tydzień w placówce miejscowej NKWD. Celem tego obowiązku nie było przeszkodzenie nam w ucieczce. Mieszkaliśmy przecież na nieprzebranych bagnach i jakakolwiek ucieczka w tych warunkach była niepodo-

bienstwem. Najwyraźniej chodziło o dokuczenie nam, zeszpancom. Innego celu nie było.

Nawet i wśród NKWD-ystów zdarzali się ludzie o ludzkich odruchach. Kiedyś poszłam z mamą w jakiejś sprawie do miejscowej placówki NK.D. Tam, córka NKWD-ysty - w moim mniej więcej wieku, jadła jakieś ciastko. Ponieważ byłam - jak chyba wszyscy - głodna, nie mogłam wprost oderwać od niej wzroku. Dostrzegł to NKWD-ysta - ojciec i rzekł do swojej córki; daj dziewczynce trochę ciastka.

W białym jarze byliśmy stosunkowo krótko, bo do czasu zawarcia porozumienia pomiędzy polskim rządem na emigracji w Londynie a rządem Związku Radzieckiego. Od tego czasu mogliśmy się w miarę swobodnie poruszać. Tam w związku z tym mówiło się, że możemy zbierać się "do ciepłych krajów".

W tym też czasie po raz pierwszy zaczęto sprawdzać nasze obywatelstwo i narodowość. Wywierano przy tym na nas presję, żebyśmy się podawali na obywateli polskich ale narodowości białoruskiej. Motywowano to w ten sposób, że przecież przywieziono nas z Białorusi, dokładnie z Zachodniej Białorusi. Tak bowiem nazywano wówczas Białostoczczyznę. Przy tej okazji proponowano nam pozostanie tam, w Białym Jarze na bagnach. Ale moja mama kategorycznie temu się sprzeciwiła.

Pierwszy nasz wyjazd nie doszedł do skutku w zaplanowanym terminie z braku środków lokomocji. Stamtąd można było wydostać się tylko statkiem. Był to jedyny środek utrzymywania jakiegokolwiek łączności z cywilizowanym światem. Statek, którym zamierzaliśmy wyjechać, nie miał podobno wolnych miejsc. Do dziś sądzę, że tak nie było i że w ten sposób zamierzano nas zatrzymać. Zostaliśmy więc na brzegu, bo cóż innego nam pozostało? Tu koczowaliśmy. A tu już we wrześniu zaczęły się pierwsze mro-

zy. reszcie nadjechał statek, na którego pokładzie znajdowała się ekspedycja naukowa. Tak więc jego przeznaczeniem nie było przewożenie pasażerów. Należało przystąpić do działania. Wyszło nam więc przekupić dyrektora miejscowego sowchozu oraz szefa miejscowego NKWD aby kapitan statku zgodził się zabrać nas do odległego o trzysta kilometrów Kołpaszewo. Ponieważ z jakichś tam powodów żeglugowych nie mógł nas wysadzić w tymże Kołpaszewie, przybił do miejscowości Tagor.

Tu zostaliśmy do roku 1944-go. W tymże roku, nie pytając nikogo o zgodę, jakimś cudem dotarliśmy etapem do Nowosybirsk a następnie - też chyba cudem - do Stawropolskiego Kraju. Tu pozostaliśmy do początków roku 1946-go.

Mieszkaliśmy w Stacji Dimoje, Sowchoz nr 4, Apanasienkowski rejon. Pamiętam, że w Tagora funkcjonowało przedszkole, do którego uczęszczałam przez jakiś czas.

Tu ponownie odżyła sprawa obywatelstwa. Władze radzieckie nalegały na obywatelstwo a my konsekwentnie odmawialiśmy. Działalność Związku Patriotów Polskich doprowadziła do weryfikacji dotychczasowych ustaleń w tym względzie. Okazało się, że ci, którzy wcześniej, z różnych powodów: czy to ze strachu czy też z wygodnictwa podali się za Białorusinów czy też za Ukraińców, pozostali tam. Nie uzyskali prawa powrotu i tym samym nie mogli wyjechać.

W czasie, gdy istniały stosunki dyplomatyczne pomiędzy rządem Sikorskiego a rządem Związku Radzieckiego otrzymywaliśmy znaczącą pomoc ze Stanów Zjednoczonych. Pomocy udzielała UNRA. Pamiętam z tych dostaw białą mękę. Rozprowadzaniem tej pomocy wśród skupisk Polaków zajmowały się komitety pomocy Polakom. Na czele tych komitetów stali mężowie zaufania. Po zerwaniu sto-

sunków dyplomatycznych władze radzieckie natychmiast aresztowały mężów zaufania kierujących pracami tychże komitetów. To wówczas aresztowano mamę Buby Bajraszewskiego. Bubą zaopiekowała się rodzina pp. Dębskich /mieli swoje dwie córki/.

Oddzielnego wyjaśnienia wymaga sprawa losów mojego ojca. Otóż w chwili aresztowania ojciec był z nami w domu. Razem z nami został aresztowany. Ale gdy naszą rodzinę wyprowadzono z mieszkania do samochodu, w tym czasie ojca oddzielono od nas. Od tego czasu nic, dosłownie nic nie wiemy o jego losie i nigdy go nie widzieliśmy od tamtego czasu.

O wybuchu wojny sowiecko - niemieckiej dowiedzieliśmy się w transporcie, kiedy staliśmy na stacji w Mińsku.

Życie w Rosji biegło nam nędznie, o czym powszechnie wiadomo. Gryzły nas wszy, przed którymi broniliśmy się za pomocą nafaty, którą smarowaliśmy głowy. W Białym Jarze ludzie byli niesamowicie ubodzy. A przecież kiedyś przywieziono ich z Ukrainy jako groźnych dla władzy radzieckiej kułaków. Oni już nic nie mieli.

W Tagor panował straszny głód. Nawet miejscowi nie mieli chleba. Tamże, "u cioci Anny" /tak się tam wówczas mówiło/były ikony. Rodzinie cioci Anny kiedyś było bardzo dobrze. Kiedyś ona powiedziała do mojej mamy, że aby w to uwierzyć, trzeba było przyjechać do niej za cara "batmuszki".

Utrzymywaliśmy też dobre, życzliwe stosunki z "ciocią Polą". W rzeczywistości nazywała się Pałagija Gierłasimowna. Mieszkała z córką, ponieważ jej mąż był w tym czasie na wojnie. Ona również mówiła, że im kiedyś było bardzo dobrze.

Ci ludzie praktycznie nie mieli nic, co mogliby uważać za swoją, wyłączną własność. Tu niemalże wszystko było państwowe: ryby, orzechy a nawet jagody. Czyli praktycznie wszystko.

Z chwilą wybuchu wojny wprowadzono dyscyplinę wojenną w stosunku do wszystkich pracowników cywilnych. Pięciominutowe spóźnienie się do pracy karano trzymiesięcznym aresztem. Osadzonemu w areszcie nie dawano jedzenia. Tym musiała zajmować się jego rodzina. Na tym między innymi polegała wyjątkowa uciążliwość tej kary.

Pamiętam, że podczas naszego pobytu w Białym Jarze i później w Tagor, brano mężczyzn do wojska. Już nie pamiętam, kiedy to dokładnie było. Nie wiem też, kiedy powoływano do armii gen Andersa a kiedy do dywizji Kościuszkowskiej.

W Białym Jarze istniejącą wcześniej cerkiew przemianowano na klub. Był też sklep, prawie zawsze pusty.

Był też zainstalowany głośnik, przez który nadawano najważniejsze wiadomości, m.in. komunikaty z frontu. Przez ten głośnik podawano też nazwiska miejscowych, którzy ostatnio polegli na froncie.

Tamtejsze życie znacznie różni się od tego, do którego jesteśmy przyzwyczajeni my, Polacy. Tam było brak wielu podstawowych rzeczy, bez których nam życie wydaje się niemożliwe. Wystarczy jeśli powiem, że ja dopiero po powrocie do Polski, a miałam wówczas dziewięć lat, zobaczyłam i jednocześnie dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak duże lustro.

Pamiętam pobór mobilizacyjny mężczyzn do wojska. Było to w Tagora. Pod broń powoływano mężczyzn w różnym wieku: starszych i prawie dzieci. Pamiętam, jak odchodzili, żegnali się ze swoimi bliskimi a my - dzieci, biegliśmy zax nimi. W rezultacie we wsi zostały dosłownie same kobiety, ponieważ wszyscy mężczyźni poszli do wojska.

Życia religijnego, zorganizowanego i o charakterze publicz-

nym nie było w ogóle. W tym względzie Polacy stanowili jakby hermetycznie zamkniętą całość. W naszej, polskiej społeczności, życie religijne istniało. Nabożeństwa odprawiano tylko w mieszkaniach i miały one charakter zamknięty. Odprawiano gorzkie żale, godzinki, odmawiano różaniec.

Niektórzy miejscowi, zwłaszcza starszej daty, również poddawali się praktykom religijnym. Do nich należała wspomniana już ciocia Pola. W jej rodzinie obchodzono święta.

Wśród Polaków posługiwano się przywiezionymi z Polski dewocjonaliami. Były to krzyżyki, obrazki oraz książeczki do nabożeństwa. Natomiast miejscowi, Rosjanie, mieli też ikony, często bardzo okazałe.

W sowchozie nr 4 odprawiano nabożeństwa czerwcowe i majowe. Modły zbiorowe odprawiano w większych mieszkaniach prywatnych. Po zerwaniu umowy między rządem polskim na emigracji a rządem radzieckim, władze zaczęły ścigać praktyki religijne. NKWD zastosowało dotkliwe represje. Przeprowadzono rewizję o trzeciej godzinie nad ranem. Pamiętam, że wiele osób wówczas aresztowano. Nazwisk nie pamiętam ani też nie wiem, jakie były dalsze losy osób aresztowanych. Podobno aresztowania dotknęły rzeczywiście te osoby, które naprawdę były czynnie zaangażowane w życie religijne. Było tak dlatego, że do władz wpłynął donos. Podobno i Polacy też donosili a nie tylko Rosjanie.

W Tagorze w zimie temperatura spadała do sześćdziesięciu stopni poniżej zera. Ciekawym zjawiskiem dla nas były "białe noce". W grudniu dzień trwał tam dwie godziny. Tu muszę dodać, że elektryczności tam nie było.

W Stawropolskim Kraju mieszkaliśmy przez jakiś czas w lepiankach. Nie było tam drzewa.

Przed naszym wyjazdem chodziłam do polskiej szkoły. Moja ma-

na uczyła w tej szkole języka polskiego. Do tej szkoły przyjeżdżał też polski lekarz.

W Stawropolskim kraju zmarła babcia, Marianna Karwowska. Było to 20-go grudnia 1945-go roku. Udało się zdobyć deski na trumnę. Pochowano ją na cmentarzu.

Wcześniej, gdy moja babcia zachorowała, jednocześnie też zachorowała mama "cioci Poli". Wówczas to ciocia Pola zaproponowała, aby sprowadzić do nich "batuszkę", który podobno przebywał gdzieś w okolicach Nowosybirsk. Wówczas dopiero dowiedziałam się, że są różne wiary, że jest coś takiego jak katolicyzm i wiara prawosławna i że ja nie mogę korzystać z posług "batuszki". Było to dla mnie spore zaskoczenie a nawet chyba wstrząs. Dotychczas nic o tym nie słyszałam.

W sowchozie nr 3 powstała myśl ochrzczenia dzieci. Dotyczyło to zarówno dzieci małych jak i większych. Jedna z kobiet bardzo tego chciała dla swoich dzieci ale panicznie bała się swojego męża. Był on wysoko partyjny. Ona mówiła, że gdyby on się o tym dowiedział, to by ją chyba zabił.

Wreszcie mogliśmy wracać do Polski. Drogę rozpoczęliśmy saniami do stacji kolejowej Diwnoje. Przed nami było do przebycia 100 kilometrów bezdroży. Później bardzo długo jechaliśmy pociągiem. Przejeżdżaliśmy przez Lwów, ale do miasta nie powołono nam wyjść. Granicę przekroczyliśmy w Rawie Ruskiej. Z tej okazji były tam dzwony. Polacy wychodzili z wagonów i całowali ziemię.

Nasz transport skierowano do zachodniej części Polski. Ponieważ mama pochodziła spod Łomży, nie chciała tam jechać. W tej sytuacji wysiedliśmy w Lublinie. Korzystając z pomocy PUR-u dotarliśmy do Białego Stoku. Przez pewien czas przebywaliśmy w okolicach Łomży a następnie znowu znaleźliśmy się w Białymstoku.

W Katyniu zginął mój wujek - Aleksander Karwowski. Przed wojną był policjantem. Nie sprawdzałam, czy jego nazwisko znajduje

się na listach katyńskich. Rodzina otrzymała od niego dwie kartki z Kozielska. Irzysłał też jakąś wiadomość i do mojej mamy. Później zapadła cisza.

Po powrocie do Polski poszłam do szkoły podstawowej w Biłgłymstoku. Chodziłam do SP nr 7. Następnie skończyłam Liceum Ogólnokształcące w Białymstoku przy ulicy Kościelnej a Następnie Akademię Medyczną w Białymstoku.

Z tytułu pobytu w Rosji miałam pewne kłopoty w Polsce Ludowej. Podstawową przyczyną tego był fakt, że za dużo mówiłam. Kiedyś, jeszcze w szkole podstawowej i to podczas wizytacji powiedziałam, że w Związku Radzieckim panuje wszędzie prawdziwa nędza, "bo ja tam byłam".

Innym razem pisałam wypracowanie o Wojsku Polskim. Napisałam, jak bardzo tęskniłam za widokiem polskiego żołnierza tam, w Rosji na stepie; jak biegłam szybko żeby go zobaczyć.

W szkole średniej wdałam się w konflikt na tle przynależności do Związku Młodzieży Polskiej. Nie przyjąłam deklaracji mówiąc wprost, że ta organizacja mi nie odpowiada.

Trudności dotknęły też mnie podczas starania się o przyjęcie do Akademii Medycznej w Białymstoku. Ale jakoś się dostałam, chociaż było bardzo ciężko.

Nie wiem, jak układały się stosunki narodowościowe między dorosłymi podczas naszego pobytu na Syberii. Wśród dzieci było różnie. Często słyszałam przezwiska "Palaczka" oraz - nie wiem czemu - "Jewrejka".

Wszelkobecna była propaganda, która wciskała się a nawet nam ją wciskano we wszystkie możliwe miejsca. W szkole pisaliśmy w polskich zeszytach. Mieliśmy ołówki. Przy każdej okazji jednak przypomniano nam, komu to zawdzięczamy: "Widzicie, jaki towarzysz Stalin jest dobry; on wam przysyła wszystkie potrzebne rzeczy, że-

byście tylko mogli się uczyć".

Wszędzie panował okropny prymityw. W klubie często odbywały się tańce. Poprządk tańczono nawet w szkole na przerwach między lekcjami. Wyświetlane filmy były bardzo monotematyczne. Nie wiem dlaczego zapamiętałam jakiś film o Czapaiewie.

Wspominałam o darach z UNRY. Pamiętam, że kiedyś dostałam stamtąd buty. Tak mi się podobały a jednocześnie bałam się, że mogę je stracić. I dlatego spałam w butach.

Na koniec podaję nazwiska znanych mi osób. Ustaliłam je na podstawie zachowanego jeszcze ze szkoły podstawowej pamiętnika. Z góry muszę zaznaczyć, że w wielu przypadkach te nazwiska nie dla mnie nie mówią w tym sensie, że nie stoi za nimi w mojej wyobraźni żadna twarz. Ale owe nazwiska są niewątpliwie autentyczne, tak jak bezwzględnie autentyczny jest ten pamiętnik. Nawiasem mówiąc nie przypominam sobie wcale, w jakich okolicznościach zaczęłam go prowadzić a już w ogóle nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak on zachował się aż do teraz. Przy niektórych nazwiskach podaję pewne dane dodatkowe. Dotyczy to tych osób lub rodzin, które pamiętam.

1. Irena Dembowska

2. Zofia Pełczyńska. Przy innej okazji już wspominałam, że jej brat utonął w rzece Ob.

3. Rodzina Wołoncewiczów. Ich mama ciągle chorowała. Nie pamiętam, w jakich okolicznościach ich rodzina się rozpadła i dlaczego. W tej rodzinie był chłopak, Jurek, straszny zabijaka. Dzieci znalazły się w domu dziecka w Tomsku. Nie wiem, co się z nimi dalej stało. Nie wiem, czy ktoś z nich wrócił w końcu do Polski.

4. Janina Szewczykówna.
5. Maria Sołowiejówna.
6. Stanisława Bernasiuk
7. Halina Gruwkówna
8. Wiesława Fudłowska.
9. Ola Osobotówna
10. Halina Siegniewkówna
11. Walentyna Kuncewicz.
12. Rywa Motylówna. Nie jestem pewna, ale jej siostra miała na imię Mira.
13. Zasinowa. Była naszą nauczycielką. Nie wpisała mi swojego imienia a ja go już niestety nie pamiętam.

Nic konkretnego nie mogę powiedzieć o dalszych losach z tej listy, którą odtworzyłam, jak już powiedziałam, na podstawie zachowanego pamiętnika. Nie wiem, czy ktokolwiek z tej listy wrócił do Polski.

Obecnie jestem lekarzem. Pracuję w Białymstoku i opiekuję się moją mamą, staruszką, kobietą już schorowaną. I nic dziwnego. Ma przecież za sobą straszne, syberyjskie przejścia.

Moja relacja jest bardzo chaotyczna. Należy jednak mieć na względzie fakt, że w chwili aresztowania miałam niecałe cztery lata. Kiedy wróciłam do Polski miałam lat dziewięć. Wszystkie te przejścia rozgrywały się przed oczyma wystraszonego często dziecka. Stąd moja wersja wydarzeń jest bardziej zestawem oderwanych obrazów niż logicznym ciągiem kolejno po sobie następujących faktów.

Notował: S. Sianko.